9 lut 2021 r.

Odwrót spod Moskwy. Refleksje po rozmowach Borrell – Ławrow

Tweet

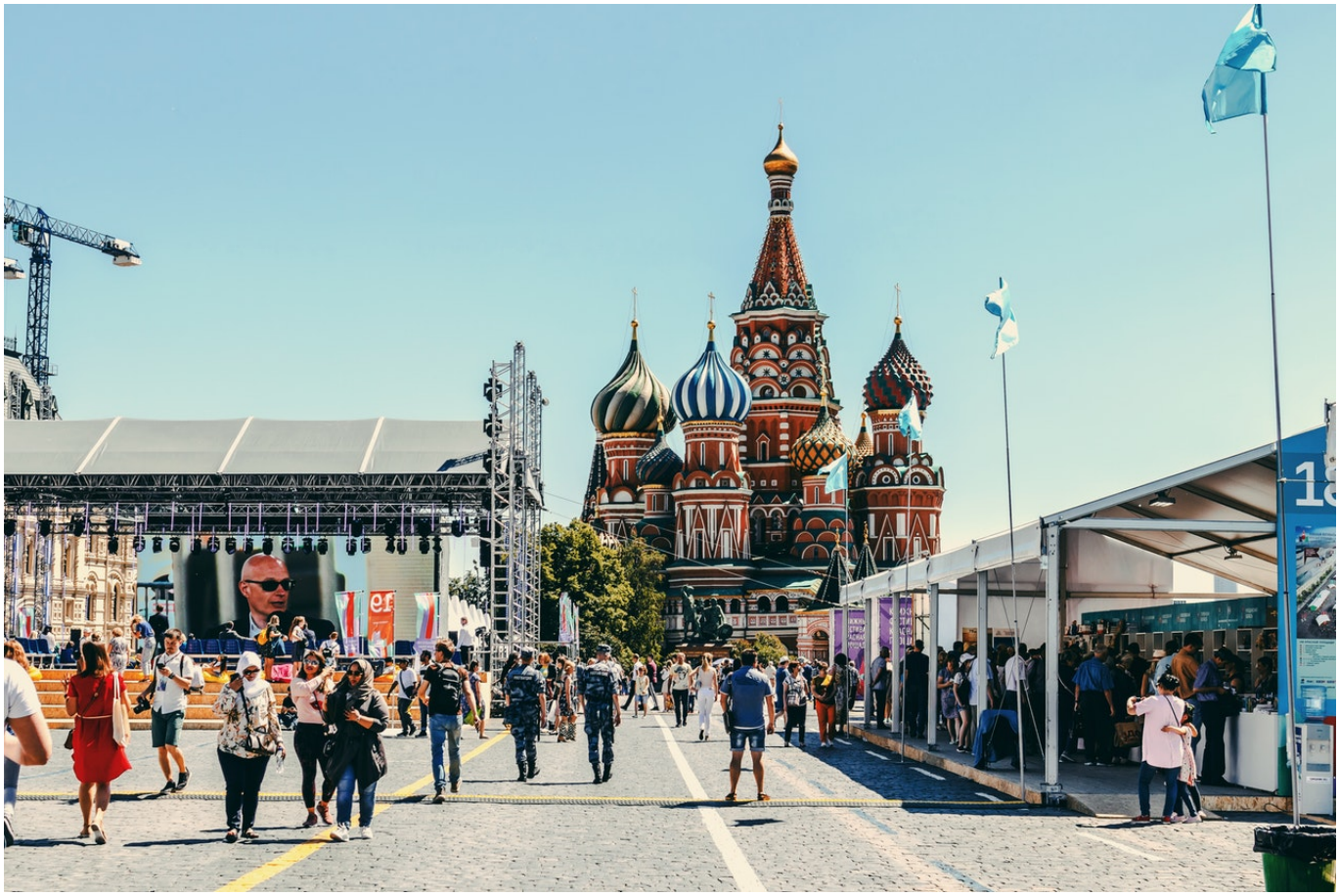

Kwestia tego czy nazwiemy moskiewską wyprawę Josepa Borrella rozczarowaniem, czy upokorzeniem jest sprawą publicystycznego temperamentu, ale to, że nie przyczyniła się ona do realizacji celów, jakie unijny dyplomata sobie stawiał, gdy na

nią wyruszał, jest już niepodważalnym faktem. Wysoki Przedstawiciel ds. Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa nie skłonił Rosjan, aby nawiązali dialog ze Wspólnotą Europejską – czy choćby dostrzegali w niej podmiotowego partnera. Nie zrobił też nic, co mogłoby realnie poprawić sytuację Aleksieja Nawalnego. Poza tym, zamiast osłabić, wzmocnił podziały dotyczące polityki wschodniej w samej UE.

Unia rozpruwa się bowiem po szwach interesów narodowych. Francja i Niemcy będą kontynuować politykę ostrożnie pro-kremlowską, bo służy to ich celom gospodarczym oraz geostrategicznym. Kraje "karolińskiego rdzenia" wybierają więc z grona państw słabszych, choćby z Polski czy Hiszpanii, unijnych dostojników, których ustami mogą rytualnie upominać się o demokrację, prawa człowieka i pokój między narodami, podczas gdy sami realizują własne zamierzenia, bardziej odpowiadające temu, co zwykło się nazywać "racją stanu".

Prezydent Macron wskazuje na mapę Afryki, opowiada o kryzysach humanitarnych i punktach zapalnych, wymienia, gdzie dziś walczą żołnierze francuscy (czasem w sojuszu z rosyjskimi) i gdzie chętnie widziałby też żołnierzy polskich: Czad, Somalia, Republika Środkowej Afryki, Libia… Na to wszystko moglibyśmy odpowiedzieć jak pruski mąż stanu: "pańska mapa Afryki jest bardzo ciekawa, ale my mamy przed oczami inną. Otóż tutaj są Niemcy, tam – Rosja, a my jesteśmy między nimi. To jest nasza mapa Afryki". Berlin z kolei tłumaczy nam, że ze współpracą z Moskwą wiążą się rozliczne korzyści polityczne, biznesowe, a nawet ekologiczne, ale my nie chcemy ich dostrzegać, bo brak wśród naszych elit ludzi rozumiejących położenie i specyfikę Rosji, a naszą nacją jako całość zaślepia rusofobia. Im z kolei moglibyśmy odpowiedzieć, że wcale nie jesteśmy anty-rosyjscy, zwyczajnie staramy się być pro-polscy. Rozumiemy, że alternatywa jest prosta: Europa Środkowo-Wschodnia wolna od rosyjskiej dominacji albo wojny bez końca o jej zrzucanie.

Wystąpienie Borrella z pewnością nie przydało obywatelom państw naszego kraju i regionu wiary w to, że na fundamencie solidarności europejskiej można budować nasze zbiorowe bezpieczeństwo. Zobaczyliśmy wysokiego przedstawiciela UE, który mając wszystkie karty w ręku i mogąc próbować przemówić do kremlowskiej władzy z pozycji siły, oddał jej pole na każdym obszarze: doboru tematów, rozkładu akcentów, medialnej prezentacji całego wydarzenia. Hiszpan nie mógł się nachwalić gospodarzy, komplementował nawet szczepionkę, której UE jeszcze nie dopuściła do użytku, a

Rosjanin w mało dyplomatyczny sposób atakował Unię i jej sojusznika – Stany Zjednoczone zarzucają im wszystko od "niewiarygodności" po "arogancję", od "unilateralizmu" po "kolonializm". Borrell sam dał się zresztą wmanewrować w publiczną krytykę USA, gdy w odpowiedzi na pytanie z tezą rosyjskiego dziennikarza, potępił amerykańskie embargo nałożone na Kubę, choć z pewnością podnoszenie tego wątku nie należało do celów wizyty w Moskwie. Za kulminacyjny punkt spotkania z prasą uznałbym jednak moment, w którym rosyjski minister spraw zagranicznych oświadczył, że kwestie, o których dziś rozmawia z Borrellem zostaną podjęte i rozstrzygnięte na szczycie Rady Bezpieczeństwa ONZ. Zakomunikował przy tym, że inicjatywę taką wysunął Władimir Putin, a Emmanuel Macron już ją poparł. Tym samym Ławrow jasno dał do zrozumienia, że decydować będzie dyrektoriat mocarstw, a Unia i zrzeszone w niej mniejsze kraje, w ogóle nie są przez Kreml uznawane za partnerów. W gruncie rzeczy Siergiej Wiktorowicz oświadczył swojemu dostojnemu gościowi, że jest pustym garniturem. Podobnie jak wcześniejsze prowokacje, także i te słowa nie spotkały się z żadną reakcją ze strony hiszpańskiego dyplomaty.

Można zgłosić obiekcję, że to tylko gesty i słowa, ale będzie ona chybiona. Percepcja nie jest tylko obrazem rzeczywistości politycznej, jest jej częścią; jeśli UE będzie odbierana jako słaba, jej wpływy i spoistość naprawdę będą słabnąć. Tymczasem, parafrazując słowa Radosława Sikorskiego, jako obywatele tychże "mniejszych krajów" mamy więcej powodów, by bać się Europy słabej niż silnej. Rozumiemy też różnicę między "autonomią strategiczną" Wspólnoty, a lewarowaniem potęgi Francji czy Niemiec naszym potencjałem gospodarczym, ludnościowym czy militarnym, bez którego nie przetrwają ambitne projekty stanowiące odblask ich dawnej, imperialnej chwały w rodzaju *Françafrique* czy *Mitteleuropy.* Strukturalna słabość Unii wynikająca z podporządkowania jej dyktatowi państw przodujących, kosztem pozycji i bezpieczeństwa pozostałych, jest drogą do jej rozpadu. Bo jeśli Europejczykiem będzie można być wyłącznie za cenę poświęcenia interesów własnego kraju – kto zechce być Europejczykiem?

Marcin Giełzak

Absolwent historii oraz zarządzania na Uniwersytecie Łódzkim, dyrektor zarządzający w firmie Beesfund S.A, członek rady Fundacji Ambitna Polska, były wiceprezes zarządu firmy ShareHire, wiodącego dostawcy technologii rekrutacyjnych, współpracownik Fundacji Republikańskiej, autor i współautor licznych tekstów, raportów oraz książek, m.in. “Antykomuniści lewicy” (2014), “Crowdfunding” (2015), “Niepodległość i socjalizm” (2020). W Projekcie Konsens pełni rolę dyrektora wykonawczego.

Skomentuj artykuł na Facebooku